

The book cover features a central, vertically oriented sword with a highly decorative, dark hilt and a blade that glows with a red and orange light. The background is a dark, textured red with scattered golden sparks and a glowing circular aura at the base of the sword. The entire cover is framed by intricate, golden, scrollwork borders. The title is written in a large, elegant, serif font, with the first part in gold and the second part in a lighter, metallic color.

OGGIAI

Czarny

Przywołany

TOMASZ KAMIŃSKI

Copyright © Tomek Kamiński
Copyright © Wydawnictwo Hm

ISBN:

Druk: 978-83-68177-38-1

E-book: 978-83-68177-39-8

Wydanie I

Redakcja:

E.Raj

Korekta:

Kamila Galer-Kanik

Projekt okładki

E.Raj

Skład:

Marcin Halski

Wydawnictwo Hm

Tel. 518833244

redakcja@wydawnictwohm.pl

Wszystkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środowiskach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody twórcy.

Wersja papierowa dostępna na:

www.wydawnictwohm.pl

TOMASZ KAMIŃSKI

OGHAI

Czarny

Przyptów

WOJKOWICE 2024

Lisiołku, dziękuję za wiarę we mnie i moje słowa.
Ta książka jest również Twoja.



Rozdział I

*W czasach, gdy padły Lśniące Bariery...
Nim Belit przyjął swe imię...*

Pięciu stojących w okręgu zbrojnych trzymało uniesione włócznie i miecze, które teraz zdawały im się żałośnie małe. Dzierżone tarcze, a nawet stalowe ostrza broni wyglądały na tak bardzo kruche i niewystarczające.

Wszędzie wokół leżały rozczłonkowane ciała. W trawie połyskiwały kawałki pogiętej blachy, które jeszcze przed zapadnięciem nocy były solidnymi pancerzami. Nie zdołały jednak ochronić żołnierzy przed tym, co teraz nad nimi kołowało.

Pierwszą ofiarą skrzydlatej śmierci padł koń, który spoczywał rozdarty na pół przy przewróconym wozie.

Bestia cały czas krążyła w pobliżu, wyłapując ich pojedynczo.

Tylko garstka ludzi ocalała z wyprawy, która miała rzucić wyzwanie koszmarowi nawiedzającemu górskie szlaki. Przerażeni żołnierze zadarli głowy, ale tej nocy nie rozjaśniało zbyt wiele gwiazd. Według opisów w starych legendach i pieśniach było ich niegdyś o wiele więcej. Za każdym razem, gdy na ten świat spadała katastrofa, gdy zbliżał się do zagłady lub gdy zaczynała się nowa era, firmament coraz bardziej ciemniał. Katakлизmy, Zaćmienie, Czarna Mgła – wszystko to odcisnęło na nim swoje piętno. Teraz na bezchmurnym niebie widniał zaledwie tuzin gwiazd. Chociaż noc nie była zbyt jasna, wciąż mogli odróżnić od granatowego tła zarys ciała potwora, który przyniósł zgubę ich braciom.

Na szczycie wzniesienia rysował się wielki czarny kształt, przyczepiony do skały niczym nieforemna narośl. Smoczy ogon i błoniaste skrzydła rozpostarte na kolczastych ramionach

nadawały mu krogulczy wygląd. Wzrok przyciągał jego łeb, będący połączeniem głów orła i pumy. Czerwone tęczówki jarzyły się w ciemności niczym szkarłatne gwiazdy. Gdy skoczył między żołnierzy, poruszał się z niezwykłą szybkością i zwinnością, ujawniając tym samym swoją częściowo kocią naturę. Powoli uniósł swój długi ogon zakończony kostnym ostrzem przypominającym sztych ogromnego miecza. Wyglądał jak relikw z czasów przed Kataklyzmem, gdy jeszcze smoki i gryfy wędrowały po tym świecie.

Wiedzieli, że zaraz znów zaatakuje, wykonując wielometrowy skok ku swoim ofiarom, wykorzystując przeciwko nim swoją nadnaturalną siłę. Po zabiciu jednego żołnierza zawsze ponownie odlatywał na wzniesienie.

Robił to metodycznie, jakby z namysłem wybierał cel. Bez obaw mógł też kołować ponad ich głowami, ponieważ na początku walki zabił łuczownika, pozbawiając ich obrony dystansowej. Teraz piechurzy zostali zmuszeni do ukrywania się za niewielkimi tarczami. Gryfy znane były z zawziętości, a także okrucieństwa. Tu już nie trwała walka, lecz odbywało się prawdziwe polowanie.

Pomiot nie traktował swoich przeciwników jak zagrożenie, tylko jak swoją zdobycz, która na tym górskim szlaku, pomiędzy skałami i przepaścią, nie miała żadnych szans ukryć się przed jego atakami.

Czuli, że dziś zabije ich wszystkich. Nieubłaganie, jednego po drugim.

– Przygotować się! – krzyknął jeden z żołnierzy, który nawet nie był dowódcą, ale jako jedyny zachował resztki dyscypliny. – Zawraca!

Pozostali wojownicy, ściskając swe tarcze, miecze i włócznie, w żaden sposób nie mogli uniknąć pazurów bestii. Gryf obniżył łeb, szykując się do ataku. Czarne błony naprężyły się na jego ramionach. Skoczył w ciszy, tylko jego czerwone ślepie zapłonęły. Płynąca w jego żyłach domieszka smoczej krwi skaziła go nienawiścią do ludzkiej rasy.

Z narośli na mostku wysunęły się długie kolce, którymi przebijał przygniecione do ziemi ofiary. To za ich sprawą śmierć zbierała tu największe żniwo. Teraz mogli liczyć tylko na to, że gdy pomiot zajmie się kolejnym z nich, pozostali zadadzą mu tyle ran, by mieć szansę na odstraszanie bestii. Jednak najmłodszy żołnierz nie

wytrzymał. Krzycząc przeraźliwie i przeklinając siarczyście, popędził w dół zbocza.

– Wracaj, idioto! – zawołał za nim gniewnie ten, który wcześniej wydawał rozkazy.

Nie może tak robić, pomyślał z przerażeniem, patrząc za uciekającym towarzyszem broni. Musi do nas wrócić. Musimy trzymać się razem. W czasie zagrożenia to jedyny sposób!

Czarny cień przesunął się nad żołnierzami niczym burzowa chmura. Gryf, choć zrodzony ze starożytnego zaklęcia, w swych bazowych instynktach był drapieżnikiem, łowcą podążającym za każdym, kto okazał słabość i oddalił się od stada.

– Gaurit! – krzyknął rozpaczliwie jeden z żołnierzy.

Mężczyzna kupił im czas, ale skazał się na straszną śmierć. Potwór opadł na ziemię tuż przed nim. W ostatniej chwili niedoszły uciekinier uniósł włócznię – równocześnie z jego piersi wyrwał się jęk rozpaczny – był świadomy, że nie miał już szans wyjść cało z tego starcia.

Gryf potrząsnął łbem i nieoczekiwanie wydał z siebie przenikliwy dźwięk, skrzek orła mieszający

się z rykiem lwa, wywołany bólem przeszytego ostrzem boku.

Nikt z ocalałych żołnierzy nie zauważył, kiedy przybył wojownik. Może wędrował pobliskim szlakiem wiodącym między skałami i sprowadziły go tu odgłosy walki?

Pomiot wyrzucił z siebie kolejny skrzek, a potem odskoczył w tył, chcąc uchylić się przed kolejnym ciosem.

Oghai stał przed potworem okryty płytową zbroją, trzymając wielki miecz, z którego teraz spływała krew gryfa. Ogromny wojownik o kolczastej głowie przy bestii zdawał się niemal drobny niczym szczur stojący przed bojowym ogarem. Mimo to rzucił się raz jeszcze na smoczy pomiot bez strachu czy wahania. Zamachnął się szeroko, by uderzyć znad głowy, krew z drugiej rany bryzgnęła wysoko w powietrze, a potwór wydał z siebie kolejny gniewny okrzyk, odskakując w tył. Odpowiedział na tę szarżę z ogromną gwałtownością, atakując szponami i dziobiąc jednocześnie, jakby to dwie bestie rzuciły się na tego, który ośmielił się stawić opór. Ogromne ostrze sparowało jego uderzenie, a gdy dziób gryfa

otworzył się niczym ogromne obcęgi i sięgnął ku głowie mężczyzny, wojownik zrobił szybki unik.

W międzyczasie zbrojny imieniem Gaurit, zawdzięczający przybyszowi życie, rzucił się ponownie do ucieczki, jakby liczył, że lepsza okazja mu się nie trafi.

Gryf natomiast kontynuował zaciekle ataki, które Oghai z łatwością odpierał swoim orężem. Żaden cios monstrualnych szponów ani żadne z uderzeń skrzydeł nie wytrąciły mu broni z ręki.

Drapieżnik obrócił się nieoczekiwanie, jego uwagę przyciągnął nagły ruch z boku. Tym razem jego ogon nie celował w opancerzonego wojownika, przeleciał nad nim, trafiając uciekającego Gaurita, któremu zabrakło zaledwie parę kroków, by znaleźć się poza zasięgiem bestii. Kostny grot, wieńczący ogon gryfa, przebił tors żołnierza na wylot.

Widząc to, mężczyzna wziął szeroki zamach z biodra, zakreślił łuk ostrzem, by rozciąć skrzydło potwora, który teraz na chwilę się odsłonił. Pomiot ponownie wydał z siebie skrzek połączony z rykiem i uderzył łapą w tors Oghai. Siła ciosu

wyrzuciła wojownika w powietrze i cisnęła nim o skały.

Poturbowany obrońca nie wydawał się zrażony, zaczął się powoli podnosić, cały czas ściskając miecz. Z jego ust sączyła się krew, a zbroja pokryła się pyłem. Prostując się, ciężko dyszał, jednak to była jedyna oznaka słabości. Jego ponure, pełne determinacji spojrzenie zdradzało, że był gotów na kolejną rundę.

Gryf uniósł głowę, jakby szykował się do ryku, ale z jego masywnego ptasiego dzioba wydobył się tylko przenikliwy skrzek. Odwrócił się, a potem skoczył w przepaść, umykając z pola walki z nabitą na ogon ofiarą, która cały czas zdawała się poruszać kończynami.

Dopiero gdy pomiot odleciał, żołnierze, którzy obserwowali tę niesamowitą potyczkę, zbliżyli się do nowo przybyłego. Oghai, wojownik o bladozielonej skórze, miał na sobie uszkodzony pancerz z nachodzącymi na siebie płyt – na jego prawym boku widniało długie pęknięcie. Po zbroi ściekała czarna krew, wąska strużka wypływała także z ust przybysza. Ta barwa była

charakterystyczna dla członków jego rasy. Mimo odniesionych ran mężczyzna nadal trzymał się na nogach, a jego spojrzenie zdradzało, że zapal do walki jeszcze w nim nie zgasł.

– Kim jesteś? – spytał zbrojny, który wcześniej wydawał rozkazy.

– Kimś, kto przyszedł zabić tę bestię – odpowiedział Oghai, sapiąc ciężko. – Nazywam się Hjoolt.

Potoczył spojrzeniem po obecnych. Hełmy nie ukrywały w pełni wyrazów ich twarzy.

– A wy... – mruknął pogardliwie Oghai – jesteście bandą tchórzy.

Nikt nie powiedział ani słowa, nie zaprzeczył, nie wyraził oburzenia. Spuścili głowy, wiedząc, że miał rację. Składali przysięgi i mieli swe zasady, a odważyli się do niego podejść, dopiero gdy bestia odleciała.

– Posłuchaj... – powiedział zastępca dowódcy, patrząc w podkrążone oczy Oghai. Chciał prędko zmienić temat. – Musimy stąd odejść jak najszybciej, wykorzystać to, że pomiot się wycofał.

Hjoolt spojrział teraz prosto na żołnierza i obnażył w uśmiechu kły.

– Wycofał? – rzucił pogardliwie. – To jest gryf, a my jesteśmy na jego terytorium. Będzie kontynuował pościg do podnóża góry.

Wtedy jeden ze zbrojnych, stojący na uboczu, wydał z siebie ostrzegawczy gwizd. Wszyscy odwrócili się jak na komendę i ujrzeli ogromny czarny cień przesuwany się po ścianie urwiska. Gryf porzucił gdzieś ciało Gaurita, dziś w nocy nie polował dla jedzenia. Szybko sunął ku górze, by dostać się na szczyt. Wiedzieli, że będzie atakować dalej, ponawiając ten sam manewr.

Wojownik położył miecz płazem na ramieniu i wysunął się dwa kroki przed grupę żołnierzy.

– Możemy to zabić. – Spojrzał na gryfa, który wciąż zmierzał w stronę szczytu. Prawe skrzydło pomiotu było przecięte do połowy, tam, gdzie trafił go skuteczny cios Oghai. – Nie będzie mógł równo opadać, nie ma pełnej kontroli nad lotem.

W jego głosie nie słychać było ani krzty wahania. Zdawał się już mieć jasną wizję dalszej bitwy z potworem.

– Czyś ty oszalał?! – wykrztusił jeden z wojowników. – To niedorzeczne!

Oghai zerknął na niego pogardliwie przez ramię.

– Nie jest bezmyślną bestią, zrodziła go inna moc niż mutanty – powiedział ponuro. – Gdy zrozumie, że trudniej mu manewrować w locie, nie będzie już więcej próbował. – Wzrok wojownika znów powędrował na ścianę, po której wspinał się potwór. – Wtedy zacznie atakować z doskoku.

Zbrojni spojrzeli po sobie. W końcu padło pytanie:

– Przedstawisz nam swój plan?

– Chcę wykorzystać jego masę przeciw niemu – powiedział, zaciskając dłonie na rękojeści miecza. – Uformujecie szczyk liniowy, ja zajmę pozycję na tyłach. Potem się rozdzielicie, pozwalając mi działać.

Zbrojni, nawet jeśli nadal uważali to za szaleństwo, rozumieli, że nie mają już innego wyjścia. Dlatego przystali na pomysł przybysza. Ustawili się jeden obok drugiego i zasłonili się tarczami. Spomiędzy nich wysunęły się ostrza. Oghai stanął parę kroków za nimi. Wszyscy patrzyli na gryfa, który niczym czarny ostaniec usadowił się na szczycie góry. Kolczasty ogon

poruszał się na boki niczym u rozdrażnionej pumy. W pewnym momencie znieruchomiał.

– To się nie uda... – jęknął jeden ze zbrojnych z rezygnacją. – Jesteśmy skończeni.

– Trzymać szyk! – odwarknął mu inny.

Wtedy gryf gwałtownie skoczył do przodu i rozpostarł skrzydła, by zanurkować ku zbrojnym. Stało się jednak to, co przepowiedział Oghai – rozplątana błona nie działała jak trzeba, powierzchnia nośna okazała się niewystarczająca. Bestia opadała szybko, lecz nierówno, mimo to nieubłaganie się do nich zbliżała, jej czerwone ślepia płonęły. Wystawiła przed siebie rozcapierzone szpony.

Żołnierze wytrzymali pierwsze uderzenie jednego ze szponów potwora, utrzymując szyk. Tylko jedna z tarcz odleciała na bok razem z tym, który ją dzierżył. Pozostali odpowiedzieli ciosami mieczy i włóczni. Nie zatrzymali potwora, ale tak jak powiedział Oghai, masa pomiotu stała się jego słabym punktem. Nie wyhamował w pełni lotu – ostrza wbiły się głęboko w twarde, czarne cielsko, a któryś z mieczy nawet w nim utknął.

Nie zniechęciło to gryfa, gdyż to nie zbrojnych atakował. Ich desperackie natarcia jedynie w pewnym stopniu zakłóciły kierunek ruchu bestii, która skupiła wzrok na wojowniku. Hjoolt uważnie śledził jej ruchy i czekał, szykując się do zadania ciosu. Potwór zarył skrzydłem o podłoże i wijąc wściekle ogonem, dopadł do przeciwnika. Rozłożył szeroko szponiaste łapy, otwierając dziób i wystawiając kolce, gotów pochwycić Oghai w miażdżący uścisk. Skrzek triumfu gryfa dopadającego ofiarę mieszał się z bojowym okrzykiem wojownika, gdy bestia porwała go ze sobą siłą rozpędu. Zaryła o ziemię i rozbiła się o skały. Jeszcze tylko przez chwilę poruszała ogonem, który wił się niczym wąż, by wkrótce znieruchomieć wraz z resztą potężnego cielska.

Hjoolta nigdzie nie było widać po tym, jak potwór przygniótł go swoim ciężarem.

Po dłuższej chwili, a także kilkukrotnym upewnieniu się, że monstrum dokonało żywota, żołnierze podnieśli skrzydła bestii i ujrzeni wojownika, który leżał płasko na ziemi. Kolce uszkodziły jego pancerz, tworząc dodatkowe otwory na torsie, a także jeden na prawym udzie.

Oghai cały czas żył, jego nozdrza się poruszały. Ostrze miecza przebiło pierś pomiotu i utkwiło w sercu.

* * *

Żołnierze rozbili prowizoryczne obozowisko w cieniu skarpy, by rozgrzać się przy ogniu. Zaplanowali, że rano wykopią groby tam, gdzie pozwalała na to twarda górską ziemia. Postanowili także zabrać głowę potwora na dowód, że wypełnili zadanie. Stary trakt ciągnący się między szczytami w końcu po wielu latach stał się bezpieczny. Chcieli się położyć, odpocząć i na zmianę brać warty, jednak żaden z nich nie mógł zasnąć – nie po tym, co przeżyli.

Ułożyli Hjoolta przy jednym z kamieni, wciąż odzianego w pancerz. Ważył tyle, że potrzebna była aż czwórka, aby go unieść. Nie opatrzyli mu ran, nie czuwali przy nim, traktując jak złego ducha. Nikt z nich nie wiedział, co mężczyzna faktycznie tu robił. Owszem, ocalił im życie, jednak jako Oghai miał w sobie krew powszechnie znienawidzonych orków. Takich jak on próbowano

już od dawna cywilizować, by mogli funkcjonować w ludzkich społecznościach, z mniejszym lub większym sukcesem. „Oswajanie” to odbywało się przez odpowiednie wychowanie dzieci, a po osiągnięciu dorosłości utrzymywanie ciągłego nadzoru. Najbardziej opornych zamykano w obozach dla internowanych. Nikt nie wiedział tak naprawdę, co działo się w takich ośrodkach i czy ktokolwiek wychodził z nich żywy. Krążyły jedynie plotki, że miejsca te były postrachem Oghai, a perspektywa trafienia do jednego z nich skutecznie zniechęcała do buntu.

Żołnierze długo debatowali nad tym, czy powinni odeskortować rannego wojownika do takiego obozu. Nie ulegało wątpliwości, że był niebezpieczny. Najstarszy z nich słyszał pogłoskę, że w jednej z placówek – starej podwodnej kopalni na wschodzie – Oghai podnieśli bunt przeciw swym nadzorcom. Mało kogo obchodziło jednak, dlaczego to uczynili. Dla okolicznych mieszkańców liczyło się tylko to, że niczym wściekłe psy zerwali się ze swych łańcuchów, udowadniając, że ich dzikość, krzepa i kły pochodzące od nieczystych przodków wciąż stanowią realne zagrożenie.

Część zbrojnych miała wątpliwości co do losu rannego, jeden przekonywał nawet swoich towarzyszy, by zataić udział Oghai w walce z pomiotem, a wojownika zostawić tu w głuszy z zapasami. Argumentował, że to najlepsza forma wdzięczności, jaką mogli mu okazać.

Jeszcze długo kłócili się przy ognisku, aż w pewnym momencie któryś z nich zauważył, że wojownik zniknął.

Wszyscy wstali i zaczęli się dookoła rozglądać. W końcu jakiś żołnierz wskazał palcem zbocze najwyższego ze szczytów. Hjoolt wspinał się po nim mimo ran i przebitego pancerza, podążając w stronę czarnego gniazda zbudowanego z kamieni i gałęzi, zlepionych odchodami gryfa. Było tak wielkie, że spokojnie zmieściłby się w nim wóz.

Zbrojni widzieli je już wcześniej, pierwszego dnia po przybyciu. Kiedy podniosła się z niego głowa smoczego pomiotu, zrozumieli, że to będzie początek koszmaru. Dlatego żaden z nich nie odważył się tam udać, nawet po śmierci właściciela. Widząc determinację przybysza, niektórzy zaczęli podejrzewać, że Oghai przybył tu właśnie po to, by dostać się do gniazda.

Gryf mieszkał tam od lat. Powrócił do tego świata wezwany przez Kataklyzm. Ze smoczymi pomiotami rzadko kto chciał walczyć, w efekcie te mogły bezkarnie pustoszyć całe wsie. Czasem trwało to przez dekady. Bestie te słynęły z okrucieństwa, bawiły się ofiarami niczym kot myszą. Ptasia część ich natury kochała jednak błyskotki, dlatego zdzierały ze swych zdobyczy klejnoty, kawałki pancerzy, wszystko, co lśniło, chcąc przyozdobić swe gniazda. Krążyły plotki o tym, że stworzenia te były obdarzone specjalnym zmysłem, który pozwalał im znajdować kosztowności.

Wysłanie tu zbrojnej kompanii nastąpiło wskutek decyzji króla, który nakazał uczynić porzucony szlak ponownie bezpiecznym. Przez długi czas przybywało na trakt wielu niedoświadczonych, ale spragnionych przygód śmiałków, chcących zyskać chwałę poprzez zabicie bestii, albo skuszonych obietnicą bogactwa, jakie miało znajdować się w leżu potwora.

Hjoolt przeglądał wszystko, co uzbierał gryf, jednak jego celem był pojedynczy wisior z kryształem. Gdy klejnot pochwycił światło gwiazd,

rozbłysnął nienaturalnym, intensywnym blaskiem, którego nie dało się pomylić z niczym innym. Gniazdo skrywało owianą tajemnicą relikwię. Wykonano ją w taki sposób jak starożytne talizmany naznaczone smoczą krwią, które powstawały w mrocznych czasach, gdy świat podzielony był na bariery. Wówczas wysoko w niebiosach wciąż jeszcze unosiły się Latające Miasta władane przez czarodziejów. Tylko ten amulet był o wiele młodszy, ale... nie mniej potężny.

Oghai schował zdobycz do kieszeni, a potem zaczął schodzić po zboczu.

– Czy my nie powinniśmy... – spytał nieśmiało jeden z żołnierzy obserwujących scenę z daleka. – Zdaje się, że on coś ze sobą zabrał.

– Nie! – zaprotestował twardo jego towarzysz. – Nie idźmy za nim! To zbyt niebezpieczne! Przecież... – przełknął ślinę – ...chcieliście go zostawić, udawać, że to wszystko nie miało miejsca. To dobra okazja!

Zbrojny popatrzył po ich twarzach, które teraz nie były skryte za przyłbicami hełmów. Widział ich ponure, pełne zwątpienia spojrzenia.

– Myślisz, że... – odezwał się po chwili milczenia inny żołnierz – ...to był on?

– Tak sędzę – odparł drugi, powoli kiwając głową. – Ten, którego nazywają Pielgrzymem.

* * *

Stary Oghai, odziany w proste szaty, montował drewniane deski w oknach swojego warsztatu. Jego przybytek był już zamknięty, ogień pod kotłami zgasł, co oznaczało koniec pracy kowala.

Przerwał barykadowanie, dopiero gdy usłyszał za plecami odgłos ciężkich butów. Głęboko odetchnął, wyprostował się na tyle, na ile pozwalał mu garb. Spojrzał szybko na stojącą przy drzwiach drewnianą pałkę okutą metalem, niestety znajdowała się poza jego zasięgiem.

– Nie chcę kłopotów – rzekł do przybysza, nie odwracając się. – Robię narzędzia i broń, jestem użyteczny.

Kroki raptownie ustały. Teraz słyszał tylko głęboki oddech nieznanego.

– Dlaczego mnie nie wyczułeś, Ressant? Znasz przecież mój zapach.

Gardłowy ton jego głosu sprawił, że po ciele starego Oghai przeszedł dreszcz. Powoli się odwrócił, by spojrzeć na przybyłego, ukazując mu swoją grubo ciosaną twarz. Kolce na głowie kowala zostały spiłowane, jego skroń przecinała blizna, a w miejscu nosa ziała ogromna dziura.

Odziany w pancerz Oghai, z mieczem przepasanym przez ramię, podszedł do niego pewnym krokiem.

– Kto... – powiedział wojownik, unosząc zakutą w blachę dłoń, jakby chciał dotknąć okaleczonej twarzy kowala, jednak w ostatniej chwili się powstrzymał. – Powiedz mi, kto ci to zrobił?

– Narobisz sobie kłopotów, mszcząc się za tę paskudną gębę. – Stary Oghai zmusił się do uśmiechu.

Hjoolt wydał z siebie głośny pomruk, jego dłonie zacisnęły się w pięści.

– Chcę wiedzieć! – rzucił tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Kowal spuścił wzrok.

– Przybyła tu wizytacja. Średni syn z rodziny Latreków ze swym orszakiem. Wybierali się za morze. – Znów uśmiechnął się smutno. – Przedtem jednak postanowili się rozerwać.

– To wygląda jak znamię bestii – powiedział ostro wojownik.

Tym mianem określano wymyśloną przez ludzi straszliwą torturę, której poddawani byli Oghai. Polegała ona na tym, że twarz ofiary naczynano bliznami zarówno po ostrzach, jak i w wyniku przypalania. Oprawcy wyłamywali przy tym zęby, piłowali kolce, a czasem także wydłubywali oczy. Ta okrutna metoda miała jakoby wizualnie upodabniać Oghai do potworów, za których ich uważano.

– Przeklęty świat – burknął gniewnie Hjoolt, machając dłonią. – Nie mieli prawa tego robić! Muszą za to zapłacić!

– Tych, którzy to uczynili, już dawno tu nie ma. – Ressant wzruszył ramionami. – Odeszli, a gdyby nie wstawiennictwo lokalnego kapłana, który przesłał do gubernatora wieści o tym, jak dobre pancerze robię, mógłbym skończyć jeszcze gorzej. – Powiedział to spokojnym tonem, nie reagując na pełne gniewu spojrzenie rozmówcy. – Mieszkają tu dobrzy ludzie. Nie oceniają naszego dziedzictwa.

Hjoolt przymknął oczy i pokiwał lekko głową.

– Nie mogłem wcześniej wrócić – wyznał, patrząc na pobliski pomnik. – Musiałem dokończyć to, co zacząłem.

– Czyli to prawda. Ten, o którym szepczą między sobą, to ty. – Głos starego Oghai znów na chwilę ucichł. – Jesteś tym samotnym wojownikiem, który zbiera relikwie... Pielgrzymem.

– Nie nadałem sobie tej nazwy ani nie podsyłam tej pogłoski. – Wojownik spuścił wzrok na swoje dłonie. – Doceniam jednak jej... przydatność.

Kowal wpatrywał się w niego przez chwilę z niedowierzaniem, jakby te słowa nie chciały do niego dotrzeć.

– Nie, nie! – Zaczął kręcić nerwowo głową. – To nie możesz być ty!

Hjoolt się wyprostował, a potem sięgnął swą masywną dłonią za metalowy kołnierz opasujący jego szyję. Wyciągnął łańcuszek utkany ze złotych ogniwi, na którym wisiał klejnot o idealnie białym kolorze. Kryształ pochwycił światło księżyca i zabłysnął niczym mała gwiazda, jasno oświetlając ponurą, ogorzałą twarz wojownika.

– Schowaj to czym prędzej! – syknął podenerwowany starzec. – Nie powinieneś tego pokazywać, a tym bardziej posiadać! Tu jest dom sług.

– A to dlaczego? Bo jestem Oghai? – warknął wojownik. – Bo twierdzą, że nie jesteśmy tacy jak oni? Nie wolno nam dotykać ich świętości, bo płynie w nas krew otchłańców?

Kowal znieruchomiał, jakby ktoś strzelił go biczem po plecach. Przybysz schował swój skarb z powrotem pod pancerz.

– Wiesz, czemu to robię? – spytał ponurym głosem. – Czemu ruszyłem na swoją pielgrzymkę?

– Aby zakpić z ich wiary? – powiedział cicho Ressant, podnosząc wzrok. – Ośmieszyć?

– Nie ma nic ośmieszającego w zdobywaniu relikwii zakonnych, by potem oddać je właścicielom jako ofiarę. – Hjoolt spuścił wzrok. – Wiem, że wielu mnie nienawidzi. Nie potrafią pojąć tego, że Oghai czyni coś takiego.

– Więc po co to wszystko?

– Aby zrozumieli, że nie jesteśmy bestiami, że jesteśmy zdolni do czegoś więcej niż tylko walka, aby wiedzieli, że ktoś taki jak ja w ogóle istnieje.

Chcę zmiany w tym, jak jesteśmy postrzegani. – Powiedziawszy to, spojrział przez ramię na posąg przedstawiający kobietę z tarczą i uniesionym mieczem, stojący pośrodku miasteczka. – Ta relikwia... jest dla mnie ważna. Złożę ją tutaj, u nich. – Westchnął. – Wędruję od wielu lat, sam nie wiem już ilu. Jednak tu kończy się moja pielgrzymka.

– Kapłan się nie zgodzi – powiedział z goryczą kowal.

– Kapłan ma swoje sekrety, boi się ich ujawnienia i to jest moja szansa – odparł Hjoolt bez chwili wahania.

Jego usta wykrzywiły się w złośliwym uśmiešku, a oczy na chwilę lekko się przymknęły. Jeszcze zanim przyszedł do tego miasteczka, wybadał dokładnie, jakie szanse na realizację miał jego plan. A to wiązało się z poznaniem paru niewygodnych tajemnic, kryjących się za murami lokalnej świątyni.

– Ludzie nienawidzą zmian. To się może źle skończyć, radzę ci, abyś ruszył dalej. Bądź, kimkolwiek zechcesz – wyszeptał Ressant, unosząc głowę, by niemal błagalnie spojrzeć mu w oczy.

– Nie, już na to za późno. – Wojownik odpowiedział mu spojrzeniem równie poważnym co jego głos. – Za daleko to zaszło.

Kowal nie potrafił wykrztusić słowa. Wzdrygnął się, gdy masywna łapa wojownika zacisnęła się na jego przedramieniu i brutalnie przyciągnęła do siebie.

– Jednak nim to wszystko się stanie, muszę mieć pewność. – Hjoolt popatrzył mu w oczy. – Zapewnij mnie o tym raz jeszcze! Chcę usłyszeć, że to, co mi o niej powiedziałaś wtedy, przed laty, było prawdą! Że moja wielka wędrówka miała sens!

* * *

Rozbił obozowisko z dala od miasta Losket, na wzgórzu w cieniu drzew. Rozpalił ogień, a swój miecz położył obok. Przyglądał się tańczącym płomieniom, gdy delikatnie muskały drewno, które zmieniało kolor pod wpływem ich temperatury. Ten widok zawsze go uspokajał.

Gdyby tylko odwrócił głowę, mógłby zobaczyć rozległą panoramę miejscowości i odróżniającą

się na jej tle świątynię z wielkim świętym ogrodem. Budynek z białym murem oraz wysoki posąg znajdowały się w centralnym punkcie obszernego dziedzińca. Rzeźba przedstawiała Dorneę – bohaterkę tego miasta, świętą wojowniczkę z mieczem, Wstęgę, która władała magią pieczęci. Jak wiele innych, zrodziła się po Wielkiej Wojnie. Była prawdziwą dumą mieszkańców Losket. Hjoolt unikał zbyt długiego przebywania w pobliżu posągu. Nie chciał czuć na sobie przenikliwego, kamiennego wzroku. Sama wojowniczka była zaledwie wspomnieniem, ukrytym we mgle wydarzeń z przeszłości. Nie zapomniał jednak tego, jak wtedy na niego patrzyła. Jego pielgrzymka miała skończyć się tutaj – los o tym zdecydował. Powinien dziękować za to gryfowi, a także innym złym mocom, które przyprowadziły go w to miejsce. Splątane ścieżki jego życia zmierzały właśnie tutaj.

Wszystko dobiegało końca. Liczyło się tylko to, że jego misja się powiodła.

Odetchnął ciężko, przybliżył się do ognia, by poczuć mocniej bijący żar. Często nocował w lesie, ale dziś pierwszy raz zrobiło mu się zimno.

Ciepło płomieni, a także widok spalanego drewna były jedynymi drobnymi przyjemnościami, jakie mogła mu zaoferować ta noc. Nic nie zdołało jednak odepchnąć bolesnych wspomnień i niechcianych myśli, które kłębiły mu się w głowie.

Jego nozdrza, czułe na zapach, powoli wciągnęły powietrze i już wiedział, że nie był sam. Dłoń Hjoolta powędrowała na prawo, by zacisnąć się na rękojeści miecza. Nieśpiesznym, ale pewnym ruchem przyciągnął go do siebie.

Napastnicy zawahali się, widząc, że sięgnął po broń. Kryli się w ciemności, poza kręgiem światła padającego od ognia, tak, że zdawali się jedynie niewyraźnymi cieniami. Po Kataklizmie różne abominacje przemierzały świat, Hjoolt nie mógł być pewien, czy to tylko ludzie, czy coś o wiele gorszego.

– Czego chcecie? – spytał donośnie, nie podnosząc wzroku.

Czając się w ciemności, zaczęli szeptać. Przypominali dzikie zwierzęta, które boją się podejść do płomienia.

Hjoolt nie miał na sobie pancerza, ten leżał obok. Na jego ciele już i tak było zbyt dużo obtarć

od długiego noszenia zbroi. Siedział w brązowej koszuli i krótkich spodniach, z szarym kocem przewieszonym przez grzbiet. Nie wyglądał ani zbyt groźnie, ani godnie, ale położył w pobliżu swój wierny kawał lekko wyszczerbionej blachy, czyli wszystko, czego potrzebował do walki.

Wystarczyła jakakolwiek prowokacja z ich strony, by zmienił się w maszynę do zabijania.

Jak na umówiony sygnał wyszli z ciemności. W blasku ognia pojawiły się ponure twarze mężczyzn i kobiet. Każda z nich miała inną historię wypisaną w oczach, a te wpatrzone były w niego.

– Nie macie ze sobą wideł ani pochodni – powiedział z ponurym uśmiechem Oghai. – Dobry znak.

Nie puścił jednak rękojeści swego miecza.

– Wiemy, kim jesteś – rzucił ktoś po chwili milczenia.

– Nawet ja sam nie wiem, kim jestem. – Hjoolt prychnął.

Zapadła krótka cisza, zmarszczył brwi i przesunął po zebranych spojrzeniem.

– Jesteś tym... – odezwał się inny przybysz – tym, którego zwą Pielgrzymem.

Oghai spuścił wzrok i lekko pokręcił głową.

– To jesteś ty... To musisz być ty! – zawołał męski, skrzeczący głos, a reszta dołączyła do niego, powtarzając jak echo słowo „Pielgrzym”.

– Nie wiem, co słyszeliście i co sobie ubzduraliście. – Wojownik zmrużył oczy. – Nic od was nie chcę. Odejdźcie w pokoju.

Po tych słowach wszyscy zamilkli i odwrócili spojrzenia. Tylko kilku z nich nadal się w niego wpatrywało, jednak bez strachu czy nienawiści.

I wtedy Oghai zaczął pojmować, po co tu przyszli.

– Uratuj nas! – jęknął błagalnie jakiś starzec drżącym głosem, w którym słychać było rozpaczliwy ton. – Uwolnij nas od tego koszmaru, który nas nawiedza!

Wojownik z rozbawieniem pokręcił swoją kółczastą głową. Oparł się o drzewo, a jego wzrok znów powędrował w stronę płonącego ogniska.

– Nie... – powiedział niskim głosem. – Ocalę tylko jedną osobę. Dlatego, że ujrzała we mnie coś więcej niż tylko demona – dodał, unosząc dłoń, by dotknąć swojego kolca. – Była jedną z niewielu istot, które okazały mi serce.

Poprawił kawałek drewna w ognisku, by lepiej się paliło.

– Wam pomogę tylko przy okazji, ale nie byliście częścią moich planów. – Wypowiedział te słowa, nawet na nich nie patrząc.

* * *

Maszerował przez las w kierunku szczytu, podążając za swoją ofiarą. Jego celem było zdobycie posiłku. Miejsca takie jak te, z dala od cywilizacji, mimo że trudno dostępne, czasem niebezpieczne, wydawały mu się prawdziwą ostoją.

Poderwał głowę, przerwawszy rozmyślania, kiedy usłyszał głośnie, metaliczne dudnienie. Był to dźwięk dzwonów.

Spojrzał w kierunku miasteczka, które teraz zdawało się takie odległe i niewielkie.

Zwiedził kawał świata po tym, jak Lśniące Bariery przestały istnieć po Wielkiej Wojnie, a horyzont nie miał granic. Wtedy też nadeszła era człowieka. Widział na własne oczy, jak przez te wszystkie lata Oghai wiedli w ludzkich królestwach skrajnie trudny żywot. Mało kto z nich

chciał wspominać legendy o wydarzeniach sprzed tysięcy lat. O ich chwale, o wielkich orkach górujących nad ludźmi, zdolnych wpaść w bojowy szał, który czynił ich niemal nieśmiertelnymi. O szamanach niebios, którzy przybyli na ziemię orków z odległych krain, by zjednoczywszy ich, poprowadzić ku przeznaczeniu i zrealizować tym samym przepowiednię bogów.

Prastare proroctwa mówiły o tym, że każda z ras będzie miała swój czas, swoją epokę. To, jak kształtowali swój los, jak karty historii zostały zapisane, zależało wyłącznie od nich.

Szamani poprowadzili plemiona ku temu, co miało stać się ich przeznaczeniem. Tak powstała Unia Orczych Królestw – ogromna federacja, która rozciągała się daleko na południe i obejmowała też część terenów na zachodzie kontynentu.

Ci sami szamani zapoczątkowali też jednak upadek rasy orków. W tej historii duma i nadzieja mieszały się z wielką zdradą. Kiedy szamani niebios zostali wymordowani przez rozwścieczonych współplemieńców, nastąpił rozłam w federacji i część plemion odeszła za wielkie góry, stopniowo zatracając poczucie przynależności

do ludu orków, mieszając się z lokalną populacją, by w finale przekształcić się w inne rasy. Bandy włóczących się po stepach abominacji rzuciły wyzwanie niedobitkom pozostałym na ruinach swej dawnej domeny. Swą liczebnością, zajadłością i nieustępliwością złamali dumnego ducha orków, wymordowali ich, by na końcu pożreć ich ciała.

Potęźni przodkowie Oghai przestali istnieć.

Ich potomkowie, ci, którzy byli mieszańcami, zapomnieli o swym dziedzictwie. Poddali się władzy człowieka, którego epoka nadeszła. Częściowo ich zaakceptowano, ze względu na wspólne pochodzenie, a także miłosierdzie wymagane przez religię. Jakiegokolwiek mieli powody, część ludzi nigdy nie przestała patrzeć na obcych z góry, z nienawiścią czy też wrogością, podobnie jak na ich przodków. Oghai, chcąc się przystosować do życia w nowym społeczeństwie, zgodzili się na rolę kundli, trzymany przy domach jako niewolnicy i wyrobnicy, traktowanych dobrze, tylko gdy okazywali bezwzględne posłuszeństwo.

Hjoolt na każdym kroku doświadczał prześladowań ze strony ludzi. Nienawidzili go za to, kim

był, za jego kolce, kolor skóry, krwi, odmienną od nich twarz. Rzucali w niego kamieniami, gdy przybywał do miast. Gwardia chciała go zamknąć w obozach bez żadnego powodu – jak innych Oghai. Byli tam poddawani sterylizacji lub innym brutalnym zabiegom. W podziemiach uniwersytetów znajdowały się laboratoria, gdzie prowadzono okrutne badania na członkach jego rasy. Wszystko to widział na własne oczy. Przez lata wędrował po dzikich terenach, bo tylko tam nie czuł się kimś gorszym, mógł wieść proste, spokojne życie, ciesząc się z każdego dnia, kiedy nie musiał oglądać ludzkich twarzy. Jednak takie życie w izolacji byłoby iluzją, niekończącym się snem – bo przecież znał prawdę: każda epoka musiała mieć swój koniec i ta właśnie do niego zmierzała. Dlatego ruszył na swą wyprawę. Wierzył, że po raz pierwszy może się to stać bez przelewu krwi.

Rozległo się kolejne bicie dzwonu.

Ci ludzie, którzy jeszcze wczoraj odwiedzili jego obóz, też wiedzieli, co oznaczał ten dźwięk. Zwiastował przybycie wygłodniałej, bezdusznej bestii. Bieg zdarzeń przyśpieszał.

Oghai czuł, że to się stanie dziś w nocy.

Miał jeszcze czas, by się przygotować.

Wyruszył na polowanie. Nigdy nie szkolił się na łowcę, nie znał się na tajnikach tej sztuki. Nie potrzebował tego – instynkt prowadził go do celu. Swym węchem potrafił namierzyć zwierzy-
nę łowną. Zapach sierści łosia nęcił go, oznaczał przyjemny stan sytości. Zdobycz, wyczuwszy, że zbliża się zagrożenie, czmychnęła, a Oghai po prostu podązał jej śladem. Nie biegł, szedł szybkim, pewnym krokiem. Plaga, która dosięgała innych Oghai, deformując i osłabiając ich ciała, jego zdawała się oszczędzić. Szedł bez zmęczenia, nie zwalniał. Łoś uciekał długo. Trwało to wiele godzin, ale w końcu zatrzymał się na szczycie wzniesienia, gdyż nie miał już więcej sił. Szybkie i czyste cięcie miecza zakończyło żywot zwierzyny.

Gdy Hjoolt oprawiał zdobycz – zdzierał skórę, oddzielał mięso od kości – coś zwróciło jego uwagę. W pewnym momencie znieruchomiał, by po chwili powoli się wyprostować. Nawet zapach świeżej juchy nie mógł zamaskować tej woni. Wszystkie mutanty, które pojawiły się na tym świecie, zdawały się wydzielać ten ostry, kwaśny

i drażniący dla nozdrzy fetor, który zawsze kojarzył mu się z zapachem fiolek w laboratoriach alchemików.

Odwrócił się, by spojrzeć ku cieniom kładącym się między drzewami. Zmrużył oczy. Lekki wiatr kołysał gałęziami. W tym zmieniającym się obrazie jeden kawałek ciemności pozostawał nieporuszony. Oghai uniósł dłoń, by zacisnąć ją na rękojeści broni. Przybysz jednak nie zaatakował. Stał tam, patrzył, oceniał. Hjoolt robił to samo, dlatego na razie nie ruszył miecza. Wahał się.

Drapieżnik, który krył się w mroku, zrobił ku niemu krok. Gdy światło padło na masywny łeb, wojownik wreszcie zdołał mu się przyjrzeć. Obcy miał szeroki nos jak u kota, a jego szczęką, mimo że pokryta futrem, przypominała gadzią paszczę, z której wystawały długie zakrzywione kły. Z czarnej grzywy potwora wysunęły się purpurowe macki zakończone kolcami. Wijąc się, przypominały żmije, które założyły sobie gniazdo w ciele bestii.

Hjoolt nie pierwszy raz spotykał się z mieszkańcami dziczy, zarówno tymi zrodzonymi z Katakliizmu, jak i pierwotnymi. Nie można było im

okazywać strachu, bo wtedy budził się w nich instynkt łowcy, który kazał atakować. Oghai nie czuł niepokoju, w końcu on także należał do drapieżników. Ujął miecz w obie dłonie, gotowy do walki. Cieszył się w duchu, że zabił łosia. Twarde mięso mutantów często miało dziwny posmak.

Potwór zniżył głowę, wydał z siebie gniewny pomruk, obnażając kły. Nie rzucił się jednak na wojownika, choć ten się tego spodziewał.

– Ty wiesz, co to jest – powiedział Hjoolt, mierząc ostrzem w stwora. – Wiesz, do czego to służy.

Abominacja zrobiła krok w przód i skręciła w prawo, cały czas trzymając dystans i uparcie świdrując go spojrzeniem. Teraz bestia pokazała mu się w całości. Na jej zwalistym ciele wojownik zobaczył płataninę wzorów. Blizny po mieczach i ślady zębów tworzyły swoistą mapę wszystkich walk, jakie odbyła po przybyciu na ten świat. Utykała, stawiając nierówne kroki – jej tylna łapa była zdeformowana nad kostką. W tym miejscu widniał też ślad po głębokim cięciu, które doszło do kości i paskudnie się zagoiło. Bestia krążyła, nie chcąc atakować, ale też nie rezygnując z tego, co ją tu sprowadziło.

Oghai patrzył na stwora przez dobrą minutę, a potem na chwilę przymknął oczy. Schował miecz, by odejść i nie stać na drodze między zmutowanym drapieźnikiem a upolowaną zwierzyną. Wojownik wiedział, że mięso, jakie już zabrał, w zupełności mu wystarczy na ten dzień i kolejny. Tak długo, jak miał swój przysmak – oleście czarną, pełną krwi wątrobę – polowanie mógł uznać za udane.

Odchodząc, nie spuszczał wzroku z potwora, na wypadek gdyby ten zmienił zdanie i postanowił jednak zaatakować. Mutant podszedł chwiejnym krokiem do truchła, by z miejsca zacząć je zachłannie pożerać. Czujnie zerkał przy tym na Oghai.

– Jesteś zagubiony – mruknął wojownik sam do siebie. – Ty też szukasz swego miejsca w tym przeklętym świecie. A może czekasz już na nadejście innego?

* * *

Noc była bezchmurna, blask kilku ostatnich gwiazd oświetlał osobliwy pochód idący przez

miasto. Szli, śmiejąc się i wiwatując, stukając o bruk drewnianymi nogami.

Ich proste koszule, kamizelki, przepaski na głowach, a także kapelusze marynarskie zdawały się oznajmiać światu, że pływali pod piracką banderą. Byli bandą korsarzy, którzy przemierzali wielkie fale, łupili wybrzeża, a to, co czyniło z nich ludzi, już dawno zostało utracone. Ich dłonie zakończone były hakami lub szczypcami, a ciała okryte kawałkami skór ryb. W trakcie wielu dekad żeglowania pokryli się koralami, pąklami i pozielenieli od glonów. Wyglądali, jakby wyciągnięto ich z morskiego dna.

Za upiornym pochodem kroczyło, kiwając się na boki, wielkie monstrum o pękatym ciele. Miało na sobie czarną kamizelkę, która zdawała się niemal wrośnięta w tkankę. Tam, gdzie kiedyś zapewne znajdowała się głowa, teraz piętrzyła się gruba skorupa stworzona ze szkarłatnych koralu i muszli, a także przeróżnych wodnych stworzeń. Co jakiś czas pojawiały się w nich małe czułki i odnóża, jakby próbowały się rozglądać w poszukiwaniu wody. Potwór nie miał rąk. Zamiast jednej z nich, niby protezę,

przymocowano mu ciało zmumifikowanego rekina. Z kolei drugą rękę zastępowała lufa małego działka armaty, pokryta rdzą i glonami. Monstrum, niczym zwierzę pociągowe, taszczyło za sobą metalową skrzynię na kółkach, przyczepioną do łańcucha.

Mimo że uczestnicy pochodu byli przeklętymi stworzeniami i nie należeli do świata żywych, to zachowywali się głośno i krzykliwie niczym pijani marynarze wracający z karczmy, świętujący udany łup. Hałas, który im towarzyszył, przetaczał się przez ulice. Okna pozamykano, całe miasto zdawało się kulić w przerażeniu.

W pewnym momencie niekonwencjonalny pochód się zatrzymał. Wszystkie groteskowe, zdeformowane twarze popatrzyły przed siebie. Wielka bestia ciągnąca skrzynię także stanęła i wydała z siebie głośny pomruk.

Naprzeciw nich wyszedł młodzieniec o czarnych włosach sięgających do ramion, odziany w puklerz, z uniesioną tarczą i mieczem. Choć pewnie dzierżył swój oręż, na jego twarzy malował się strach. Jego dwaj towarzysze, także noszący proste pancerze i płaszcze gwardii, kryli

się za załomem budynku. Dodając mu „otuchy”, wyzywali go od idiotów i kazali uciekać.

– Niegodziwcy! – zawołał na całe gardło. – Wiemy, kim jesteście! Powstrzymamy was! Zakończymy wasz terror!

Wszystkie zielone, niekształtne i trawione przez rozkład monstra popatrzyły po sobie, po czym rozbrzmiał donośny szyderczy śmiech. Ich szczypce zaczęły się poruszać, haki zadrżały, a stal cicho zabrzęczała, gdy sięgali po swój oręż.

Odpowiedź piratów sprawiła, że młody gwardzista zacisnął zęby, a w oczach pojawiły mu się łzy. Jego miecz lekko się obniżył.

Jeden z piratów wyszedł na przód. Pod prostą kamizelką widoczna była wielka rana zaszyta czarną nicią. Nie miał rąk, zastępowały je protezy z drewna, jak u wielkiej lalki. Nawet piracki kapelusz z szerokim rondem nie maskował jego pozieleniałej twarzy, którą przy prawej skroni pokrywał kawałek metalu. W miejscu oczodołu znajdowała się luneta. Z każdym krokiem słyszalny był donośny stukot, gdy jego sztuczna noga z kości jakiegoś morskiego stworzenia uderzała o bruk.

– Wydajesz się nowy w tym fachu. – Nieumarły pirat podparł się pod boki. – Na pewno inni ci powiedzieli, czemu tu przybywamy.

Korsarz przechylił lekko głowę, jakby chciał uważniej spojrzeć na gwardzistę. Na jego twarzy pojawił się szyderczy uśmiech, drewnianą dłonią poprawił kapelusz.

– Zabieramy tylko jedno życie, jak zawsze. Jeśli nam przeszkodzicie, „On” tu przybędzie. Ten, który zniszczył już wiele miast na wybrzeżu. – Żeglarz podszedł do młodzieńca, by spojrzeć mu z bliska w twarz, jakby zaciekawiony, co ujrzy w jego oczach.

Gwardzista nic nie odpowiedział. Jego towarzyszy dawno już nie było. Monstrum stało na wyciągnięcie miecza.

– Co zrobisz zatem, dzielny strażniku?

Pirat spoglądał z rozbawieniem na oręż przeciwnika, który ten lekko opuścił.

Nagle obydwaj unieśli głowy z zaskoczeniem, usłyszawszy przeciągły syk bólu.

Wszyscy spojrzeli w kierunku ogromnej abominacji, która kroczyła na końcu pochodu. Jej tors został przeszyty mieczem. Bestia wydała

z siebie kolejny syk i zamachała żałośnie kończynami. Wielki miecz szybkim, pewnym ruchem wystrzelił ku górze, rozcinając potworne cielsko, które rozszczepiło się na dwie części. Z wnętrza potwora wylało się wiele dziwnych morskich stworzeń, a także całe strugi żółci.

Upadł ciężko niczym powalone drzewo, a za nim gwardzista ujrzał tego, który z taką łatwością pokonał monstrum. Wojownik Oghai, ubrany w czarny pancerz, trzymał oburącz swój imponujący miecz. Szybkim uderzeniem ostrza przeciął ogniwa łańcucha. Jego bojowa postawa i nieprzyjazne spojrzenie, które posłał korsarzom, jasno dawały do zrozumienia, że nie poprzestanie na jednym.

Część piratów natychmiast uniosła oręż i się na niego rzuciła. Oghai nie miał szans osłonić się przed wszystkimi ciosami. Rapiery i szable uderzały o jego zbroję, która tworzyła solidną osłonę. Żeglarze nie byli przyzwyczajeni do walki z ciężko opancerzonym przeciwnikiem, zwykle napadali na nieuzbrojonych kupców i rybaków. Te ostrza, które sięgały celu, jedynie ześlizgiwały się po metalowej powierzchni. Szczypce

i kolczaste odnóża morskich drapieżników nie nadawały się do kruszenia stali. Wojownik swym mieczem blokował te uderzenia, które sięgały jego głowy. Korsarze nie ustawali, atakowali z wielką zaciekłością, jakby to był abordaż. Nie dawali jednak rady przebić się przez gardę Hjoolta.

Oghai walczył niezwykle skutecznie, jego przeciwnicy nie mieli nawet cienkich kolczug, które mogłyby stawić opór jego broni. Mimo że byli martwi, rozpaczliwie krzyczeli z bólu, gdy wojownik odcinał ich drewniane protezy oraz kończyny, które leciały na wszystkie strony. Zawodzili, nie potrafiąc stawić skutecznego oporu. Wrzaski szatkowanych i rąbanych korsarzy zostały jednak zagłuszone przez bitewny ryk Oghai.

Po kilku głębokich oddechach wojownik zamachnął się na ostatniego z przeciwników. Ciął go swym mieczem ustawionym ostrzem w dół jak siekiera, aż głownia uderzyła o kamienny chodnik.

Lekko pochylony niczym do szarży, pokryty juchą wrogów, odwrócił głowę w stronę sześciu

pozostałych piratów, wbijając w nich wzrok. Nie mieli wątpliwości, co ich czeka. Żaden z nich nie ruszył w jego kierunku i nie wydał z siebie dźwięku. Ich częściowo ludzkie twarze wyrażały strach.

Oghai powoli skręcił w ich stronę, ciągnąc za sobą miecz. Ostrze w zetknięciu z chodnikiem wydawało nieprzyjemny, metaliczny dźwięk.

Nagle rozległ się przeszywający huk, który wstrząsnął ciałem wojownika i go zatrzymał. Pirat, który rozmawiał z gwardzistą, zdążył chwycić za swą rusznicę i oddać strzał. Pocisk trafił w brzuch Oghai. Jego dłoń powędrowała do otworu na torsie, z którego sączyła się krew. Olbrzymi wojownik zachwiał się na boki niczym drzewo targane przez huragan.

Nie upadł jednak, spuścił wzrok, by spojrzeć na dłoń pokrytą czernią.

– Cholera! Trzeci raz w to samo miejsce! Wiesz, ile kosztuje naprawa?! – W jego głosie nie było bólu, tylko wściekłość.

Chwycił miecz oburącz, nie przejmując się raną.

– Na co czekacie?! – krzyknął przerażony właściciel rusznicy. – Zabijcie go! Zabijcie! Teraz jest ranny!

Dwaj korsarze nie posłuchali rozkazu, stali jak zamurowani. To Oghai ruszył w ich stronę pierwszy. Dopiero wtedy spróbowali wyprowadzić kilka pchnięć rapierami, celując w twarz i ranę. Ostrze pierwszego zostało ścięte razem z piratem, a drugiemu uderzenie miecza wyrwało oręż z dłoni. Wykazał się zaskakującą odwagą, gdyż nie uciekł, lecz chwycił za sztylet, który nosił przy pasie. Nie spodziewał się tylko, że masywna noga Oghai uniesie się, by uderzyć go prosto w splot słoneczny butem podkutym metalem.

Pirat upadł. Trzej pozostali popatrzyli na swe ostrza, szczypcy i drewniane protezy. Nie mieli wiele do zaprezentowania, jeśli chodzi o szermierkę. Wielki miecz dawał wojownikowi przewagę zasięgu. Oghai celowo przeciągał walkę, odrabując im odnóża kawałek po kawałku, dźgając i tnąc. Następnie czaszkę każdego powalonego przeciwnika rozgniatał niczym zgniły owoc pod swoimi metalowymi podeszwami.

Spojrzał na ostatniego z piratów, tego, który strzelił do niego z rusznicy. Spodziewał się, że korsarz odda kolejny strzał, jednak ten miał inny pomysł na dalszą walkę. Trzymał teraz rapier przy szyi gwardzisty, który chciał stawić opór pochodowi, myląc odwagę z głupotą.

– Stój albo go zabiję! – wrzasnął triumfalnie korsarz.

Słyszając to, wojownik się zawahał. W każdej innej sytuacji powinien go wyśmiać, by ostatecznie przebić mieczem ich obu. Dokładnie tak by uczynił jeszcze wczoraj – wszak było to zgodne z jego naturą. Jednak nie dzisiejszej nocy. Powstrzymało go to, co znajdowało się w klatce. Czuł zapach, którego nie dało się z niczym pomylić. Wiedział też, że mieszkańcy prawdopodobnie obserwowali go z okolicznych domostw, każde jego słowo mogło być podsłuchane, a czyny mogły zostać osądzone.

Mimo że wszystko, co czuł teraz – wahanie, wstyd, nadzieję – nie było częścią jego natury, nie potrafił odmówić tym emocjom rzeczywistości.

Widział przerażenie w oczach gwardzisty, jego odwaga gdzieś się ulotniła. Na twarzy pirata za

to, gdy tylko wyczuł wahanie wojownika, pojawił się złośliwy uśmiech.

Jednak Oghai dobrze wiedział, dlaczego młodzieniec to zrobił. W pewien sposób go rozumiał, bo sam miał w sobie tęsknotę za tym, by być zwiastunem zmiany, choćby samotnie, choćby trochę naiwnie. Posłał mu pokrzepiający uśmiech.

Potem, wypuściwszy miecz z dłoni, bez słowa zbliżył się do korsarza. Stał zaledwie kilka kroków przed nim. Bezbronny, z otwartą raną na torsie, zdawał się zapraszać przeciwnika do ataku. Pirat uległ pokusie. Odepchnął gwardzistę, zrobił krok w przód, by wyprowadzić szybki sztych rapierem.

Oghai był sporym celem, jednak w odróżnieniu od pirata miał większe doświadczenie w walce, a także instynkt drapieżnika. Odskoczył, unikając ciosu, i teraz przeciwnik znalazł się po jego prawej stronie. Szerokie rondo kapelusza przysłaniało twarz korsarza, dlatego wojownik nie zauważył zdziwienia, które malowało się na twarzy oponenta. Dostrzegł za to, jak nadgarstek z drewna i metalu zaczyna się obracać,

aby przygotować ostrze. Lewa dłoń sięgnęła po sztylet. Za drugim razem Oghai nie odskoczył, choć rapier wbił się w jego bok, w szczelinę między płytami pancerza. Sztylet zaś ześlizgnął się po metalu. Korsarz, atakując równocześnie oboma rękami, osłabił jednak znacząco siłę swoich ciosów.

Hjoolt wydał z siebie triumfalny pomruk, a potem, ku zaskoczeniu pirata, zacisnął swoje wielkie łapy na nadgarstkach przeciwnika i pociągnął je z całej siły, aż ramiona oddzieliły się od korpusu.

Pozbawiony członków korsarz jęknął błagalnie. Oghai, nic sobie z tego nie robiąc, wyrwał rapier z ciała. Potem uniósł drewnianą protezę, spoglądając na oponenta ze zmarszczonymi brwiami. W takim stanie korsarz powinien być już martwy, lecz on nadal walczył o to, by ustać na drżących nogach. Jego jedyne ludzkie oko nie było zdolne do płaczu. Drugie, zastąpione lunetą, zafiksowało się na sztucznej ręce, którą teraz trzymał Oghai.

Nie trwało to długo. Proteza błyskawicznie zmieniła się w maczugę. Pirat, powalony na

ziemię, wył i jęczał przy każdym uderzeniu, które na niego spadało, aż w końcu drewniana kończyzna złamała się na jego grzbiecie.

– Jeden z was musi ocaleć – powiedział Hjoolt, odrzucając swoją „broń” – aby przekazać wiadomość.

Pirat lekko się poruszył, skulił plecy, by za chwilę dziko się roześmiać.

– Czy ty wiesz, co zrobiłeś? – rzucił radośnie. – Nie wrócimy na statek, nie będziemy mieć tego, co mu się należy. – Spojrzał na niego oczodołem, z którego sterczały resztki lunety. – On tu przybędzie. Z całą swoją mocą. Tak jak obiecał.

Oghai w odpowiedzi zmrużył tylko powieki.

– Tak, wiem. Znam go. Nazywają go Smakoszem – powiedział grobowym tonem.

Cała wesołość, która na chwilę owładnęła pirata, zniknęła.

– Tak, tak – ciągnął Oghai. – Pływacie pod banderą Czarnej Czaszki. Spotkałem już tego, który żegluje po nieznanym falach. Wiem, kim jest. I czemu robi to, co robi... – Powiedziawszy to, kucnął przy piracie. – Nie spodziewałem się, że własnej załodze zrobi coś takiego.

Chwycił swą wielką łapą za głowę wilka morskiego, następnie nie bacząc na jego krzyki, przekleństwa i protesty, oddzielił kawał blachy wmontowany w czaszkę pirata. Drugą dłonią chwycił za jego brzuch w miejscu szwów, zaciskając na nich palce z siłą imadła, i... szarpnął. Dopiero wtedy się wyprostował, by spojrzeć na korsarza raz jeszcze. Zarówno dziura w czaszce, jak i otwarty brzuch ujawniły puste wnętrze istoty z usuniętymi narządami.

– Pożarł was wszystkich, kawałek po kawałku. – Hjoolt pokręcił głową potępiająco. – I utrzymał w tym niby-życiu z pomocą jakiejś plugawej magii. Uczynił was podobnymi sobie.

Nieumarły pirat nie powiedział już ani słowa. Skulił się tylko, jakby zawstydzony tym, co Oghai z nim uczynił.

– Wróć do swego kapitana i powiedz mu, że ma tu przybyć.

Po tych słowach spojrział przez ramię na gwardzistę, który był świadkiem całej sceny. Zdawał się wyłącznie z obowiązku pozostawać przy swoim wybawicielu.

– Ja... dziękuję... – powiedział cicho młodzieniec.

Oghai popatrzył na niego spod zmrużonych powiek i rzekł przez zaciśnięte zęby:

– A ty przekaz wielbnemu, że przybyłem.

* * *

Skrzynia była szczelnie zamknięta, więc nie mógł zobaczyć, kto znajduje się w środku, jednak Oghai cały czas czuł znajomy zapach. Wiedział, że więzień jest przerażony i dezorientowany, dlatego wojownik zabrał klatkę na wielki plac, na którym znajdował się pomnik bohaterki. Mieszkańcy Losket i tak byli schowani w domach, nikt nie odważył się sprawdzić, jak zakończyła się dziwna potyczka.

Minęło kilka lat od czasu, gdy widział to dziecko ostatni raz, nim wyruszył w swoją wielką podróż. To właśnie dla niego Oghai dziś walczył i zamierzał walczyć dalej, dla niego postanowił zakończyć swą pielgrzymkę. Pocieszało go to, że Smakosz nie pozwoliłby na uszkodzenie ciała

swojej ofiary ani na zepsucie jej smaku środkami odurzającymi. Różne obawy pojawiały się w głowie Hjoolta. Od chwili, gdy tu przybył, pierwszy raz się zawahał.

Wszystkie drogi zdawały się prowadzić do tego miejsca.

Otwierając skobel klatki, zrobił to tak, by stać nieco z boku. Chciał, by wzrok więźnia najpierw padł na posąg tej, którą w mieście uważano za świętą. To ona miała mu się kojarzyć z odzyskaniem wolności, z poczuciem bezpieczeństwa.

Oghai zrobił krok w tył, na tyle cicho, na ile pozwalały podkute buty. Potem się odwrócił i ruszył przed siebie, chcąc odejść niezauważony.

To mu wystarczało: że zrobił dziś coś dobrego, więcej niż przez całe swoje plugawe i brutalne życie. Było to coś, co wcześniej zdawało się dla niego niemal niemożliwe. Żywot Hjoolta naznaczyło piętno zła, które wiązało się z pochodzeniem Oghai, i nawet ta pielgrzymka nie mogła tego zmienić. To, co czuł teraz – dziwną, ciepłą iskierkę w środku – zdawało się wręcz do niego nie pasować.

– To ty, prawda? – Usłyszał za sobą cichy głos, przestraszony, ale pełen nadziei.

Oghai się zatrzymał. Nie zdołała tego dokonać kula, która utkwiała w jego torsie, ale te proste słowa w zupełności wystarczyły.

Powoli się odwrócił, zbroję wciąż miał umazaną krwią i żółcią wrogów. Spojrzał na dziecko swoimi czarnymi oczami, głęboko osadzonymi w czaszce.

Przed klatką stał chłopiec o delikatnych rysach twarzy, z kasztanowymi włosami zaczesanymi na bok. Jego spojrzenie wydawało się łagodne, niemal ciepłe. Był odziany w białe szaty – dowód na to, że tego dnia przyjął w świątyni sakrament święceń.

Zrobił dwa kroki w stronę Oghai zupełnie niezrażony jego nieludzką fizjonomią. Patrzył na niego przenikliwie, z pewną fascynacją. Tak jak czynił to zawsze.

– To musisz być ty. – Na jego twarzy pojawił się uśmiech. – Nikt inny by po mnie nie przyszedł.

Oghai pochylił głowę, by chłopiec nie dostrzegł dziwnego grymasu, który wykrzywił teraz jego oblicze.

– Tak. Musiałem tu przybyć – powiedział z pewnym trudem, nie patrząc w stronę dziecka. – Dowiedziałem się, że masz przyjąć święcenia. Przeczuwałem, że mogą cię porwać. – Przygryzł na chwilę wargę. – Nie mogłem na to pozwolić.

Niemal zmusił się do tego wyznania. Wszystko to było prawdą i zdawało się zyskiwać dziwną moc, w miarę jak wypowiadał te słowa na głos.

Ostatni raz czuł się podobnie bardzo dawno temu. Wtedy także towarzyszyło temu spokojne spojrzenie chłopca, który teraz podszedł bliżej, by popatrzeć mu prosto w oczy.

– Zawsze przy mnie byłeś, zawsze czuwałeś – rzekł z wdzięcznością w głosie.

– Bo ty jedyny zawsze widziałeś we mnie coś więcej – odpowiedział Oghai ochryłym z emocji głosem.

Małe dziecko w szatach postulanta i wojownik w brudnej zbroi spojrzeli na siebie, obdarzając się nawzajem nieśmiałym uśmiechem.

– Mam do ciebie wiele pytań... – powiedział cicho chłopiec. – Gdzie byłeś? Zniknąłeś tak nagle.

– Nie mogę ci na to odpowiedzieć – odparł wojownik. Przelotnie spojrzął na wielki posąg wojowniczkę Wstęgi. – Jeszcze nie teraz.

Chłopiec lekko pokiwał głową.

– Zostaniesz z nami? – spytał z nadzieją w głosie.

– To zależy... – Hjoolt wahał się chwilę, jak to najlepiej ująć.

Dłonią zakutą w zimną stal musnął podbródek chłopca. Na twarzy dziecka malował się smutek.

– Ale obiecuję ci jedno – oznajmił z całą stanowczością. – Zatrzymam tego potwora. Uwolnię was od klątwy. Zarówno ty, jak i inni mieszkańcy będziecie bezpieczni. – Znow poczuł to dziwne ciepło w sercu i tym razem nie przerażało go tak bardzo. – Wszystko to zrobię dla ciebie.

* * *

Hjoolt odprowadził chłopca do domu.

Nie planował tego, ale gdy malec go o to poprosił, nie potrafił odmówić. Przemierzając miasto,

widział uchylające się okiennice i głowy co jakiś czas wysuwające się zza załomów. Mieszkańcy słyszeli odgłosy walki, która miała być zwiastunem tragedii. Koszmar, jaki przybył tu z morza, sparaliżował miasto. Czuli się bezbronni, spętani mroczną magią, zmuszającą ich do pasywności. Dlatego widok tej dziwnej pary musiał ich zaskoczyć.

Dla Oghai nie miało to znaczenia. Uśmiech chłopca, to, jak patrzył na niego z podziwem i wdzięcznością, sprawił, że mężczyzna nie czuł na sobie ciężkiej stali pancerza, ran, trudów wojowniczego życia czy też brzemienia klątwy, która wiązała się z jego krwią. Powrócił myślami do czasów, gdy bronił małego przyjaciela przed dokuczającymi mu wyrostkami, gdy strugał dla niego zabawki z drewna i opowiadał historie ze swego życia.

Ich spacer zakończył się parę metrów od domu chłopca, kiedy zauważyli, że w drzwiach czeka jego matka. Nie ta prawdziwa, lecz przybrana, choć kochająca tak samo. Oghai ją również pamiętał sprzed lat, dlatego się nie zbliżał, przeczuwając, jak zareaguje na jego widok.

Chłopiec pożegnał się z Hjooldem i z miejsca ruszył w objęcia matki. Wojownik był zadowolony, że dziecko spędzi tę noc pod znajomym dachem. Potwory zabrały go ze świątyni, gdy przyjmował swe sakramenty i wstępował na nową ścieżkę w życiu. Oghai skrył się za załomem, by zniknąć z pola widzenia dziecka – przyszłej Wstęgi. Chłopiec już go nie widział, ale on wciąż uważnie obserwował, jak malec wchodzi do domu.

Hjoolt zagryzł mocno wargę i wydał z siebie niski pomruk.

Ten piżmowy zapach, jaki zawsze bił od postulanta, zdawał się wyczuwalny tylko dla jego nozdrzy, niosąc ze sobą wskazówkę związaną z jego przeznaczeniem. Wszystko to stało w pozornej sprzeczności z tym, kim miał się stać dzieciak, a także z przekleństwem, które płynęło w czarnej krwi Oghai. Więź, która istniała między nimi, była jednak silna i bardzo realna, chociaż w obecnej chwili tylko Hjoolt był jej świadomy.

To, co powiedział mu stary kowal Oghai noc wcześniej, potwierdzało wszystkie jego przypuszczenia i domysły.

Wychylił się raz jeszcze zza rogu, by spojrzeć na domostwo. Światło sączyło się przez jedną z okiennic. Obiecał sobie, że gdy skończy swą pielgrzymkę, gdy złoży ofiarę, wtedy wyjawি chłopcu prawdę. Już teraz wojownik wiedział, co mu powie:

– Orin... Ty i ja jesteśmy braćmi.